

LENA SZATKOWSKA

Pisarka, recenzentka teatralna,  
dziennikarka, autorka reportaży

# Kartka z lokomotywą

Stachura był dla mnie kimś wyjątkowym, ważnym pisarzem i bliskim człowiekiem. Poznałam go w 1972 roku w Płocku. Niewiele brakowało, żebyśmy spotkali się wcześniej, podczas moich studiów na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Bywał w domu państwa Pawłowskich, a ja przyjaźniłam się z Małgorzatą, siostrą Reginy Pawłowskiej. Razem z Ryszardem Milczewskim-Brunem przyjeżdżał do Torunia na kolejne Maje Poetyckie. Znał malarza Bogdana Kraśniewskiego i poetę Wojciecha Roszewskiego, który prowadził z nami ćwiczenia z filozofii.

Po studiach przyjechałam do Płocka, zaczęłam pracę w Liceum im. Władysława Jagiełły, do którego chodził kiedyś Broniewski. To mi się podobało, że ja i Broniewski w jednej szkole. Po dwóch latach odeszłam do Klubu Nauczyciela. Nową pracę rozpoczęłam od modnych wtedy spotkań autorskich. Na początek był Stachura, bo bardzo chciałam go poznać.

List z propozycją spotkania wysłałam do Związku Literatów, mając nadzieję, że mu przekażą. W listopadzie przyszła odpowiedź.

Zaproponował trzy terminy grudniowe. „Jeden z tych dni” – napisał, podając adres zwrotny na poste restante: Warszawa 5, ulica Miódowa 1. Na kopercie widniał znaczek z Broniewskim, co mnie ogromnie ujęło. Po kolejnej wymianie listów umówiliśmy się na 12 grudnia. Ponieważ słyszałam w radiu, że śpiewa, poprosiłam, żeby zabrał ze sobą gitarę. „Gitarra oczywiście będzie ze mną lub ja z nią. Ustalimy to między sobą. Łączę serdeczne pozdrowienia” – napisał.

Stachura był już wtedy znanym pisarzem, autorem między innymi zbioru opowiadań *Jeden dzień* i powieści *Siekierzada*. Jego twórczość wydała mi się fascynująca i oryginalna. Po *Całej jaskrawości* miałam ochotę wyrzucić wszystko, co dotąd stworzono, cały kanon literatury polonistycznej. Urzekły mnie przestrzeń i pejzaż, w których znaleźli się narrator i bohaterowie. Prawo obywatelstwa zyskała świetlica kolejowa na dworcu w Ciechocinku czy restauracja „Pod Grzybem” – miejsca, które znałam. Piękny był też fragment o mieście, które można ocalić przed powodzią, ukryć w dłoni i postawić wyżej tam, gdzie nie dociera woda. Stachura podniósł otaczającą nas codzienność do rangi sztuki. Jego wrażliwość, czułość w dialogach i opisach była nadzwyczajna. A już zupełnie poraził mnie pomysł, że wystarczy spalić pogrzebowy karawan, by odegnać śmierć.

Gdy umówionego dnia Stachura przyjechał do Płocka, ubrany chyba w granatową kurtkę, dzinsy, górskie buty, z torbą listonoszką na ramieniu i zamotanym wokół szyi szalikiem – stanęła przede mną żywa fotografia bohatera jego prozy. Zwróciłam uwagę na przenikliwie patrzące, niebieskie oczy. Wydał mi się poważny, może smutny. Stremowana wyciągnęłam zaczytany egzemplarz *Siekierzady* i poprosiłam o autograf. Przekreślił swoje imię i nazwisko, dopisał „Sted” i powiedział, żeby tak się do niego zwracać. Cały wpis opatrzył niewielkimi kwiatkami.

Na sali w Domu Broniewskiego z dębem za oknem czekała na poetę kameralna publiczność: kilka polonistek, trochę uczniów, sporo seniorów. Przyszły jeszcze moje koleżanki, które przekonałam, że to naprawdę wyjątkowy pisarz. Bardzo chciałam, żeby ten wieczór się udał i jemu,

i mnie. Najpierw zaproponowałam, żeby coś o sobie powiedział. Szło mu nie najlepiej, robił pauzy, zaciął się. Podobnie było ze śpiewaniem. *Balladę dla Potęgowej* zaczynał kilkakrotnie. W końcu się zmobilizował, nawiązał kontakt z salą, rozmawiał nawet o Broniewskim.

Po spotkaniu zaprosiłam Stachurę do mieszkającego przy ulicy Kolegialnej małżeństwa Teresy i Tadeusza Kalaszczyńskich. On był lekarzem, ona polonistką. Nie miałam własnego mieszkania ani czasu, by przygotować kolację. Gospodarze bardzo starali się mile przyjąć artystę. Gdy po kolacji zaczęła się dyskusja o literaturze, nieoczekiwanie wstał od stołu, nie tłumacząc, dlaczego przerywa wizytę. Nie pozostało mi nic innego, jak wyjść razem z nim.

Rozmawialiśmy o Toruniu, miejscach, które znaleźmy oboje: gospodzie „Pod Modrym Fartuchem”, „Azyłu”, barze mlecznym „Pod Arkadami”. Nie interesowało mnie jego życie osobiste. Sam zaczął opowiadać o kobiecie, której przyrzekł, że jej nigdy nie zdradzi. Pomyślałam, że to ta, którą pięknie nazywał Gałązką Jabłoni. Mężczyzna, który tak mówi – to było godne podziwu. Dopiero wiele lat później, kiedy przeczytałam jego biografię, okazało się, że był już wtedy po sprawie rozwodowej i pewnie wciąż przeżywał rozstanie.

Nazajutrz, usłyszałam w radiu komunikat wzywający Stachurę do powrotu. Nie wiedziałam, o co chodzi i czy wiadomość do niego dotarła\*. Miał pojechać na spotkanie do Włocławka.

Po pierwszym spotkaniu wysłałam do Stachury list. Pisałam tak, jak wtedy czułam: „Jeśli ty jesteś tak prawdziwy, aż do nieprawdziwej prawdziwości, to niech cię strzegą wszystkie rzeczy na tej ziemi, bo bardzo można się bać o ciebie”.

Na początku 1973 roku przyszła kartka z Poznania, na niej widok Annopola i Wisły. „Dzięki za list i za niech cię strzegą. Dzięki. To się może bardzo przydać” – napisał. Odpowiedziałam kartką ze Szklarskiej Poręby.

---

\* Tego dnia Stachura dowiedział się o śmierci ojca.

Teraz oto jestem...

Pod koniec stycznia przyszedł list z Krynicy. Stachura proponował swój przyjazd do Płocka. Chciał się zatrzymać w hotelu PTTK na skarpie. Ten budynek z tarasem wychylonym na Wisłę podobał mu się najbardziej. List mnie zaskoczył. Dowiadywałam się nawet o cenę hotelu, ale terminu nie rezerwowałam i Stachura w nim nie zamieszkał...

W marcu 1973 roku dostałam pocztówkę z Cisnej, z Bieszczad, w której między innymi tłumaczył, dlaczego nie udało mu się spaść z nieba do mojego Płocka. Informował, że od kilku dni w Bieszczadach niesamowite śniegi i że próbował się do mnie dodzwonić. Nie wiedział, że miałam tylko telefon służbowy. Po godzinie dwudziestej nikogo już w Klubie nie było. Prosił o przełożenie spotkania w MPiK-u\* na czas późniejszy.

Kolejny raz Stachura przyjechał do Płocka w maju 1973 roku z dziennikarzem Ryszardem Wójcikiem. Ten wspólny pobyt włączył do opowieści-rzeki *Wszystko jest poezja*.

W sierpniu 1973 roku pisarz odwiedził Płock ponownie. Tym razem w towarzystwie przyjaciół, których poznał rok wcześniej w Norwegii. Odnotował to w dzienniku.

Pamiętam też, że podczas któregoś z pobytów w Płocku Stachura zaprosił mnie na kolację do „Petropolu” – najbardziej wizytowego hotelu w mieście. Siedliśmy w restauracji. Na sali było dużo osób, ożywione i głośnie towarzystwo. Grał zespół. Nawet tańczyliśmy. W pewnym momencie Sted zostawił mnie samą przy stoliku, bo ktoś do niego zamachał. Przysiadł się do siedzących tam mężczyzn. Byli z Warszawy, w coś grali. Pokazywano banknoty, padały liczby. Nic z tego nie rozumiałam. Ogromnie mnie zadziwił. Ktoś taki jak Stachura gra w karty? Sam mi potem powiedział, że czasami w ten sposób zarabia na życie.

Lubił Wisłę. Zawsze tą samą trasą obok pomnika Broniewskiego schodziliśmy na nabrzeże. Spacerowaliśmy z widokiem na Wzgórze

---

\* Chodzi o funkcjonującą w dużych miastach sieć czytelni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki.

Tumskie, wspominając toruńskich znajomych. Wtedy się ożywił, bo na ogół milczał. W czasie któregoś z pobytów, gdzieś na wysokości hotelu PTTK (dziś „Starzyński”), siadł nad wodą. Z torby konduktorki albo chlebaka wyjął kilka orzechów, dwa hotelowe mydełka przywieszane z zagranicy. „Co by tu ci podarować? Tylko to mam, a chciałem ci coś dać”. Te pamiątki zostały ze mną dosyć długo.

Urzeczona jego *Białą lokomotywą*, którą odczytałam mimo wszystko jako wiersz o nadziei, wysłałam mu kartkę, też z lokomotywą, ale niebieską. 19 stycznia 1974 roku przyszła odpowiedź z Grudziądza. Była to reprodukcja obrazu *Widok na Morskie Oko* Wyczółkowskiego. „Dziękuję za niebieską lokomotywę z zielonymi kołami. Najlepszego nowego roku i wszystkich następnych” – pisał. Nie odpowiedziałam i nasz kontakt się urwał.

Po wypadku w Bednarach chciałam go odwiedzić, ale zabrakło mi odwagi. Kilka miesięcy później dotarła do mnie wiadomość o śmierci. Byłam wtedy na Mazurach. Nie mogłam pojechać na pogrzeb, bo opiekowałam się grupą młodzieży w Giżycku. Grób Stachury zobaczyłam tydzień później. Jeszcze leżały tam zwiędłe kwiaty. Do Aleksandrowa i Łazieńca\* trafiłam dopiero po wielu latach.

Tekst powstał w 2017 roku.

---

\* Łazieniec to wieś koło Aleksandrowa Kujawskiego, gdzie w 1948 roku po powrocie do Polski zamieszkała rodzina Stachurów.